

Per aspera

Piszę w sprawie ostatniej ministerialnej listy wydawnictw („PAUza Akademicka” 457). Od początku XVI wieku rozsądnikiem myśli były, powstające jak grzyby po deszczu, oficyny wydawnicze – niewątpliwie nowe, nowoczesne, demokratyczne (drukować mógł każdy, kogo było na to stać) i uniwersalny środek przekazu informacji. Dziś takim środkiem jest, czy się komu podoba, czy nie, Internet oraz wydawnictwa elektroniczne. Brak takich wydawnictw, które by – analogicznie jak tzw. czasopisma elektroniczne – publikowały wyłącznie w sieci. To istotne ograniczenie „papierowej” listy. Skoro figurują na niej wydawnictwa zajmujące się głównie popularyzacją, to dlaczego oficyny elektroniczne lub w ogóle strony internetowe miałyby być z tej listy wykluczone? Tym bardziej, gdy miarą oceny ma być poczytność tekstu, ukryta pod terminem „obieg naukowy”.

Przede wszystkim pomysł ustalenia takiej listy likwiduje konkurencję ze strony wydawnictw nowo powstających. Kto bowiem będzie chciał publikować w wydawnictwie nieprzynoszącym materialnego i naukowego profitu w postaci punktów? Nowe wydawnictwa wbrew pozorom pomagają w utrzymaniu poziomu, bo autor może przenieść się do konkurencji lub sam opłacić druk w dowolnej oficynie, ponadto stymulują życie naukowe w małych ośrodkach i w przypadku badań regionalnych. Myślę, że jesteśmy świadkami podziału wpływów w świecie wydawnictw, które otrzymują demokratyczny monopol na obsługę polskiej nauki. Ponadto „lista wydawnictw” stanie się surrogatem recenzji, zastępując faktycznie wymóg recenzowania prac do druku (wydawnictwa popularne zamawiać będą o wiele częściej recenzje przychylnie, fikcyjne lub napisane przez samych autorów). Większość produkcji naukowej to kompilacje, przyczynkarstwo, nuda lub chłam, które w ten sposób zostałyby dodatkowo nobilitowane, otrzymując ministerialny i wydawniczy stempel „naukowości”. Wydawnictwa popularne produkują dla zysku, ich właściciele punkty nic nie obchodzą, stawiają więc autorom publikacji naukowych jeden zasadniczy wymóg – towar musi się sprzedawać.

Republika naukowców nie ma granic. Nauki ściśle same regulują swój światowy obieg, bez pomocy ministerialnych punktów, o czym świadczy choćby przykład Kopernika, publikującego oczywiście w ówczesnej lingua franca, czyli po łacinie, do czego nie potrzebował żadnych zachęt ze strony rządzących. Nauki humanistyczne, i po części społeczne, mają obieg swoisty i żadne punkty go nie skorygują, nadając mu pożądaną przez ustawodawcę kierunek. To mrzonka oświeceniowa. Będziemy za to świadkami, czemu służy ministerialna stymulacja, ucieczki publikacji autorskich na Zachód, uszczuplającej obieg myśli naukowej oraz wydawniczej w Polsce (a choćby w postaci nowych miejsc pracy, o których rządzący zawsze trąbią). Prof. Woleński zwrócił uwagę na rażącą dlań nieobecność na tej liście wydawnictw zagranicznych ze Wschodu. To dowód ciągłości z okresem Polski Ludowej, w której nauka jak najbardziej miała granice państwowe i geograficzne, nakreślone wymogami

geopolityki, a zarazem widomy znak przejmowania polskiej myśli naukowej przez ośrodki anglojęzyczne (charakterystyczne, że „lista” traktuje po macoszemu wydawnictwa krajów romańskich), zapoczątkowany drenażem mózgow polskiej inteligencji w wyniku emigracji z lat osiemdziesiątych.

Za dobre rozwiązanie uważam system amerykański, czyli w wielkim uproszczeniu badania naukowe w rękach instytucji prywatnych, ale jego wprowadzenie musiałyby oznaczać zaprzestanie urządzania przez państwo całego życia społeczno-gospodarczego, co uznaję za niemożliwe. Zatem trzeba wlewać nowe wino do starych bukłaków i naszywać nowe łaty na stare lumpy, ale jak długo wytrzymają? Brak zaś we współczesnych dyskusjach o polskiej nauce może nie nowej, bo to wszystko stare jak świat, ale odmiennej wizji rozwoju, poza stałymi wariacjami postępującej geometrycznie etatyzacji.

Jako wyjście doraźne, pośrednie, widzę zmianę charakteru ustanawiania prawa. Niech rosną kolejne punkty, listy, zasady, przepisy, co nieuniknione, lecz niech staną się tylko i wyłącznie wewnętrzną ewaluacją w urzędach, to jest niech nie mają mocy ustaw, rozporządzeń ministra itd. Powinny nosić charakter wyłącznie wewnętrznych kryteriów oceny ministerialnych urzędników, pomagających im poruszać się w tym skomplikowanym świecie na styku nauki, finansów i biurokracji. Decyzje oczywiście byłyby jawne i konkretne. Byłyby one nadal podstawą przydzielania pieniędzy, lecz za każdym razem decyzję można by skutecznie (co nie znaczy, że z pozytywnym skutkiem) zakwestionować, przedstawiając argumenty merytoryczne. Wiem, oznacza to, że urzędnik byłby sługą petenta, a nie panem, jak do niedawna działał się w Wielkiej Brytanii. Poprzedzić takie rozwiązanie musiałby przewrót umysłowy w Polsce, na miarę tego, który dokonał się w wieku XVIII.

Jest to więc pieśń przyszłości.

Zakończę historią anegdotyczną, lecz chyba prawdziwą. Babcia moja wydała w latach dwudziestych ubiegłego wieku nudną jak flaki z olejem, choć – wierzę – cenną dla specjalistów pracę doktorską o drukarzach poznańskich w XVI wieku. Ciż sami, tylko dwudziestowieczni drukarze oparli z wdzięczności jeden z egzemplarzy książki w, o zgrozo, świńską skórę. Dzięki temu znalazł się on w Kanadzie na jakiejś światowej wystawie, gdzie reprezentował historyczną i współczesną polską myśl drukarską. Egzemplarz w ten sposób ocalał z zawieruchy wojennej i wrócił po okupacji do Polski, co jak historia arrasów wawelskich w pigułce. O szczytnych celach polityki ministerialnej wiem tyle, co „świnia o gwiazdach” (tu przypis bibliograficzny, pozwalający odrzucić zarzut o plagiat oraz wzmocnić siłę cytowania – z wdzięcznością znajomość tej figury retorycznej przyjacielowi z Polski, biofizykowi w Kalifornii), no więc jak ta biedna świnka, ale wiem jedno i jest to dla mnie jasne jak słońce na niebie: gdyby owa polityka wydawnicza obowiązywała sto lat temu, na pewno babcina książka w cudnej świńskiej oprawie nie ujrzałaby światła dziennego.

JACEK ŻUREK

Warszawa